№ 37 Warszawa, dnia 31 Sierpnia (12 Września) 1883 r. Rok XVIII.—Tom XIX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGAWĘDKA.

Nie było prawie miesiąca w tym nieszczęsnym roku, abyśmy naszej pogawędki od utyskiwań, wyrazów grozy, żalu lub ogólnych skarg nie musieli zaczynać.

Ta łuna pożaru, która zaświeciła nad kołyską Nowego roku, była, jakby krwawem widmem strasznej przepowiedni, — przepowiedni, sprawdzającej się, niestety, coraz nowemi faktami, coraz okropniejszemi wieściami o klęskach, co, niby z rozbitej puszki Pandory, rozsypały się po całym świecie.

Zaledwie paniczny przestrach z powodu cholery w Egipcie opuszczać zaczął Europę, już nowa Hiobowa wieść przybiegła z południa o niepamiętnem trzęsieniu ziemi, które uroczą sąsiadkę Neapolu, rajską wysepkę Ischią, w kupę gruzów i ruin zamieniło.

Nie starczyło złym losom przewrotów na powierzchni ziemi: musiały sięgnąć aż do jej trzew i zatargać niemi...

Te wewnętrzne rewolucye w ostatnich czasach coraz częściej zaczęły niepokoić ludzkie mrowisko, rojące się dotychczas po stężałej skorupie naszego globu; od zniknięcia źródeł cieplickich i spustoszeń w Zagrzebiu datują się te kurcze choleryczne we wnętrznościach ziemi naszej.

Jeszcze nie przebrzmiał okrzyk grozy i przerażenia po klęsce Ischiańskiej, kiedy telegramy rozniosły po świecie wiadomość o straszniejszych podobno rewolucyach wulkanicznych około Jawy; już nie kilka, jak we Włoszech, ale kilkadziesiąt tysięcy ludzi padło ofiarą nieszczęścia.

Opisy obu klęsk pełne są przerażających szczegółów, zdolnych zakłócić sen największym śpiochom i najmniej wrażliwym naturom.

Jakby za mało sensacyi sprawiały trzęsienia ziemi, przyłączyły się jeszcze wściekłe huragany, które u amerykańskich wybrzeży potopiły mnóztwo okrętów i ludzi.

Wobec tego wszystkiego, człowiek, jak trusia, zlękniony i osowiały, nie śmie nawet zapytać: co jeszcze gorszego przyniosą losy na pokaranie świata i czego spodziewać się należy jutro, po takiem wczoraj?...

Jednych opuszcza do reszty odwaga, i ci, jak Dumas w wydanej paryzkiej publikacyi na korzyść ofiar katastrofy p. t. „*Paris-Ischia*“ wyrażają swój żal do Opatrzności, dając jej rozpaczliwe votum nieufności, raczej dla frazesu, niż z głębokiego przekonania; drudzy, jak p. August Vacquerie, zdobywają się na siłę ducha niezwykłą i wołają: „Braterstwo! — oto hasło, które strzela z rumowisk Ischii. Co za potężne wezwanie — ten kataklizm!... Co za *veto* rzucone wśród naszych międzynarodowych rozterek! Wobec tej dzikości przyrody wszyscy jesteśmy rodakami, a ludzkość cała staje się jedną wielką rodziną“...

Ładnie to brzmi pod piórem zręcznego stylisty, ale jakże daleko od przyjęcia i powtórzenia tego hasła w rzeczywistości!... Jakby dla ironii, codziennie prawie leje się krew bratnia w rozruchach antisemickich na Węgrzech, łuny pożarów mściwą, czy wichrzycielską ręką zapalają się nad Wiedniem, przepowiednie polityków wróżą nowe zawikłania, które tylko miecz skutecznie rozciąć potrafi.

Ludzkość, jedna wielka rodzina, czubić się, kłócić i rozbijać pomiędzy sobą nie przestaje, nie zważając, czy nad jej głową niebo się płomieni, czy pod jej stopami ziemia się chwieje.

Straszny to rok i pamiętnym zostanie nadługo, jako rok klęski dla wszystkich prawie pięciu części świata.

Każdy dziś ma nietylko móla, co go gryzie, ale jak Laokoon, całego węża, który go opasał i dusi...

Warszawa, wrażliwa na wszystko, przejmuje się cudzemi smutkami i cierpieniami, ale o swoich dolegliwościach nie zapomina, i obok westchnień nad losami Ischii, lub Jawy, nie przestaje wzdychać nad... kanalizacyą i wodociągami.

Ba,—i to cierń w nodze, a nawet jeden z większych, jak się pokazuje z wydanych obecnie drukiem „Uwag“ p. inżeniera Lubomiła Suligowskiego, który wziął sobie za zadanie dowieśdź p. Lindleyowi i jego towarzyszom, że zobowiązań kontraktu nie dopełnili w oznaczonym terminie, że miasto narazili na stratę $8\frac{1}{3}$ procentu summy anszlagowej, a gdy tak dalej pójdzie, jak dotychczas, to spowodują milionowy deficyt.

„Uwagi“ pana S. o dotychczasowem wykonaniu robót kanalizacyjnych i wodociągowych, są nader zajmującym, ale niezmiernie smutnym przyczynkiem do historyi naszych melioracyi miejskich, nad któremi łapa fatalności ciąży bezustannie i przygniata je swoim wpływem ku ziemi.

Ktoś dowcipnie powiedział, że jeżeli cholera ominęła Warszawę, to chyba dlatego jedynie, iż musi mieć nos i obawia się co najmniej kataru, nieuniknionego przy zwiedzaniu syreniego grodu.

Bądźcobądź, dobrze się stało, że nastraszyła trochę nasze władze municypalne, czuwające nad zdrowotnością naszego gniazda, które ptaki, z konieczności brzydkie, zamieszkują; kommissya sanitarna zebrała się bowiem z chwalebną energią do rewizyi wszystkich domów, hotelów, zajazdów, restauracyi, cukierni, piekarni i t. p. zakładów dla wygody i użytku publicznego przeznaczonych. Rezultat tych oględzin nie był wcale pomyślny, czego się zresztą spodziewać należało i wystawił pod pręgierz firmy, uchodzące pod swoim blichtrem zewnętrznym za najporządniejsze w mieście.

Ta niedyskrecya i słuszna bezwzględność kommissyi rewizyjnej, miałaby jeszcze lepszy skutek, gdyby bezwarunkowo przestrzegano z całą suro-

wością prawa wykonania poleconych środków, w celu usunięcia złego. Inaczej, niepolewane rondle, brudne naczynia, niechlujstwo służby i t. p. uchybienia wytknięte pp. restauratorom, cukiernikom i piekarzom, przeciągną się *in infinitum* i będziemy dalej truć się sosami, dławić słomą i szpagatem w pieczywie, znajdować karakuny w ciastkach a wapno w czekoladzie.

Ale porzućmy temat o mdłości przyprawiający i zwróćmy się w inną szlachetniejszą stronę.

O zbudzonem życiu towarzyskiem i artystycznem w Warszawie niema jeszcze mowy; martwy sezon *de nomine* dobiegł do końca; *de facto*, trwać jeszcze będzie kilka tygodni, dopóki na zimowe leże nie wróci wędrowne ptactwo z zagranicznej „latanki“.

Nic uwagi godniejszego nie dzieje się u nas w tych sferach, które drganiem estetycznej bussoli, zwykły oznaczać żywszy ruch prądów towarzyskich i artystycznych.

* * *

Zwrócono słuszną uwagę, że ważną i praktyczną dla całej wogóle prassy polskiej byłaby kwestya uchronienia jej od zakradającej się demoralizacyi, od nieuczciwych, stronniczych i tendencyjnych wycieczek anonymowych przeciw osobistościom i sprawom, które się jakiemuś złośliwemu korrespondentowi naraziły. Bywały wypadki, że w pismach galicyjskich i poznańskich, rzadziej w naszych, pociągano pod pręgierz publiczny ludzi najuczciwszych i najzasłużeńszych, przez złość lub intrygę, nadużywano godności i powagi drukowanego słowa na korzyść plotki lub potwarzy.

Wspólny cel całego uczciwego dziennikarstwa, leży właśnie w wyplenianiu tego chwastu prywaty i nieszlachetnej zemsty osobistej z pola publicznych interessów.

Wogóle polemika u nas zamienia częściej pióra na skrytobójcze sztylety, jeżeli nie na szydła kolące, z któremi sobie zaperzeni terminatorzy do oczu skaczą.

* * *

O zabezpieczeniu własności literackiej i artystycznej w naszych granicach niema co wiele rozprawiać; własność tę umiemy szanować i praw tak swoich, jak i cudzych pilnujemy dotychczas dosyć gorliwie. Zdarza się, że ten lub ów dziennik przedrukuje ze szpalt kollegi wiadomość jaką, lub artykuł bez zacytowania źródła, ale też naodwrót nie robi sobie pretensyi do nienaruszalności swego drukowanego materyału. Sumienność i obowiązek koleżeński nakazywałby tylko przytaczać źródło i autora, nie w kryptonymach z dwuznacznym charakterem, ale wyraźnie i otwarcie.

Wyszłoby wówczas na jaw, iż nożyczki w wielu dziennikach należą do.... najczynniejszych współpracowników, coby wszelako wartości artykułów i ważniejszych nowin wcale nie umniejszało.

Częstszych i większych nadużyć dopuszczają się u nas dyrektorowie trup prowincyonalnych względem autorów dramatycznych i tłómaczów, bo na scenie wystawiają ich utwory lub przekłady bezprawnie i samowolnie; ale gdy się zważy, że czynią to więcej z konieczności ratowania siebie i swoich towarzyszy od ostatniego upadku, to budzi się dla wielu coś ze współczucia, jakie los Jana Valjean w „Nędznikach“ obudza.

Rok bieżący, fatalny dla wszystkich, przygnębił też wędrowne świątyńki Melpomeny, a teatrzykom ogródkowym zadał chyba śmiertelny cios w tym sezonie. Sromotnem bankructwem zakończyła swą odysseję trupa niemieckich aktorów, którą dla „pięknego widoku“ sprowadził aż z Wiednia jeden z podczaszych Gambrynusa do Warszawy. Aktorowie, zawiedzeni na patryotycznych uczuciach tutejszej kolonii niemieckiej, w rozpaczliwem podrażnieniu wytłukli swojego dyrektora i wzięli nogi za pas, klnąc niegościnne miasto i nieczułych rodaków, których ani „Piękna Helena“, ani ucieszne *possy* narodowe, do teatru nie zwabiały.

Dziwna rzecz, jak ta głoszona solidarność niemiecka w Warszawie kompromittuje się razporaz; swej germańskiej wyższości jakoś na tem polu nie bardzo dowodzą nasi miejscowi *kulturtregerzy*, chociaż o niej nawet małe dzieci szwargoczą głośno i zawzięcie przy zetknięciu z polskim żywiołem.

Od kogoś, co powrócił z Kołobrzegu, słyszeliśmy opowiadanie o tak gorszącem zachowywaniu się niedorosłych Teutonów tamtejszych, względem swych rówieśników polskiego pochodzenia, że tylko rózgą należałoby wytępiać w nich zarodki tej rassowej nienawiści i buty, odziedziczonej po ojcach, czy nabytej w złem wychowaniu.

Ale rózga, to środek barbarzyńskiej pedagogii i nawet na niesforne dzieci niemieckie nie powinna być używaną, choćby na ukaranie ich złośliwego języka.

* * *

Wbrew postępowi, kwestya rózeczki stanęła znowu na porządku dziennym w programmacie szkolnym; obecnie okręgi naukowe składają swoję opinią pod względem zaprowadzenia kary cielesnej, jako ostatecznego środka przeciw krnąbrnym i niepoprawnym uczniom w szkołach średnich. Smutna to i ubliżająca ludzkiej godności i cywilizacyjnym hasłom ostateczność, ale muszą być też i ważne powody, które do tak radykalnego środka władzę wykonawczą skłaniają.

Pochlebiamy sobie, że nasza młodzież szkolna postępowaniem swojem powodu do tej zamierzonej reformy nie dała i obawiać się jej skutków nie potrzebuje.

Garnie się ona do nauki, szuka oświaty, bo czuje instynktownie, że przez nią jedynie prostą drogę ku lepszej znajdzie przyszłości.

Jak co rok bywa, tak i obecnie przy wpisach tłum młodzieży oblegał progi szkolne, przez które zawsze przejście jeszcze utrudnione dla znacznej przewyżki ponad oznaczoną normę. Pewne ulgi i przywileje prywatnych zakładów naukowych, ułatwiają odpalonym od szkół rządowych, średnie wykształcenie, oile na to zamożność rodziców pozwala; ale nie wszyscy, niestety, korzystać mogą ze szkół prywatnych, w których i nauka droższą bywa, i niewiele pozostaje nadziei uwolnienia się od obowiązkowej opłaty.

Kiedyż nastaną te błogie czasy, gdy źródła nauki będą dostępne dla wszystkich bez wyjątku i gdy na oświatę nie potrzeba będzie przywileju!...

Rubryka wychowania dzieci w budżecie rodzinnym stanowi dziś jeszcze jeden ze znacznych ciężarów. Oprócz utrzymania dziecka, opłaty szkolnej, co rok jeszcze przybywa nowy wydatek na książki i podręczniki, ulegające bezustannej zmianie. Zwracano już tylekrotnie uwagę, że te coroczne innowacye, pozbawione ważnej zasady, ciążą zanadto na kieszeni ojców rodzin. Bywało dawniej, z jednej książki uczyły się całe pokolenia i pewno więcej i lepiej umiały niejedno od dzisiejszych mądralów w mundurku studenckim; dziś zdarza się, że w ciągu roku do jednego przedmiotu dwa podręczniki nie wystarczają. Dzienniki przyniosły w tym względzie nader pożądaną, jeśli prawdziwą wiadomość, iż na przyszłość zmiany te nie mają być dowolne, lecz za wyraźnem zezwoleniem i sankcyą ministeryum oświaty wprowadzane.

Nie jeden *pater familias* westchnie z podziękowaniem Panu Bogu, że mu taka reforma oszczędzi trochę grosza, o który dziś, niestety, coraz trudniej przy ogólnej stagnacyi handlowego i przemysłowego ruchu. Ludziska ratują się, jak mogą, ale wszystko idzie, jak po grudzie.

Zbiory tegoroczne nie dopisały, ziemianie zawiedli się na swych nadziejach, które deszcze zamoczyły, albo grady wybiły.

Narzekają też wszyscy i pomstują; ale jak to się processować z niebem, albo ziemią, od której łaski i kaprysów się zależy? Zresztą do narzekań przywykliśmy tak w złej, jak i lepszej doli, skarżyć się lubimy zawsze i umiemy, ale pomódz sobie, wyratować się z biedy własnemi siłami—niestety,—nie.

Ta nieszczęsna nieufność w powodzenie możliwe, ociężałość i brak inicyatywy, — zbytek zachowawczości — szkodzą nam zawsze jednako. Weźmy na dowód jeden z najświeższych przykładów. Redakcya *Inżenieryi i budownictwa* uważając, że jedną z głównych przyczyn panoszenia się u nas zagranicznego przemysłu, jest nieznajomość bogactw własnej ziemi, rozesłała w końcu zeszłego roku i w początkach bieżącego 40.000 biletów zwrotnych, opatrzonych schematami, celem zestawienia materyałów surowych naszego kraju. Chodziło o krótkie wiadomości z rozmaitych okolic, jakie i gdzie znaleźć-by się mogły bogactwa w ziemi do exploatacyi rolniczej i przemysłowej.

Wstyd powiedzieć, iż wszystkiego tam nadesłano 43 informacye na 40.000 zapytań!.... Obywatele nasi leniwi są tradycyonalnie do pisania i czują wstręt do inkaustu; ależ w każdym dworze znalazłaby się przecież jakaś wprawna ręka, któraby mogła była wypełnić w wolnej chwili kilka rubryk żądanemi szczegółami.

Rąk nie brakło, ale dobrej chęci i zrozumienia własnego interessu i ogólnych interessów kraju. To właśnie smutne i charakteryzujące niezaszczytnie wcale nasze społeczeństwo.

Podobnie jak redakcya *Inżenieryi*, uskarża się na lenistwo i apatyą ogółu professor Rostafiński, znany botanik krakowski, który we wszystkich dziennikach ogłosił odezwę w imię nauki, o dostarczanie mu materyału do historyi roślin, uprawianych w dawnej Polsce i odebrał zaledwie *kilka* listów z Królestwa. W tym wypadku zarzut dotycze również i naszych wiejskich gospodyń, którym najłatwiej byłoby zadosyć uczynić prośbie młodego uczonego, gdyby im na dobrej woli nie brakło.

Słuszną urazę do nadobnych Warszawianek może mieć także śmiały i nieugięty przeciwnościami przewódzca wyprawy afrykańskiej, p. Stefan Szolc-Rogoziński, który z towarzyszami swymi na skalistych brzegach Kameruńskiej Zatoki wylądował i utknąć musiał w dalszej wyprawie. Jak wiadomo wichry porwały mu statek i zapędziły na skały, burza wywróciła szalupę z całym ładunkiem naukowych instrumentów i zatopiła jednego z członków wyprawy; po tem nieszczęściu młody marynarz zwrócił się do ojczyzny z prośbą o pomoc materyalną, zakołatał do serc tychsamych Warszawian i Warszawianek, które przed dwoma laty entuzyazmowały się jego śmiałemi projektami i w szlachetnym porywie chciały wziąść na siebie pokrycie kosztów całej wyprawy, a skończyło się na tem, że straciwszy z oczu dorodnego podróżnika, nie złożyły ani rubelka i najobojętniej przyjęły jego ostatnią odezwę z prośbą o pomoc.

Kiedyś może, gdy łaskawe losy przyprowadzą z powrotem naszych turystów, którzy młodość, mienie i życie swoje ponieśli na ofiarę wzamian za naukowe zdobycze—będziemy ich przyjmowali gorącemi owacyami i na ich cześć wznosili okrzyki i wyrzucali na przyjęcia przy biesiadnym stole trzy razy większe summy od tych, któreby dzisiaj ułatwić im mogły dalszą podróż w tajemniczą głąb' Afryki nad jeziora Liba.

Taka to już nasza natura.

W porę najczęściej nie umiemy robić dobrze, ani wypełniać obowiązków swoich; jednym pozwalamy ginąć za życia z głodu, aby im po śmierci stawiać pomniki; drugich fetujemy, czcimy i nosimy na rękach za życia, aby nazajutrz po pogrzebie zapomnieć o wszelkich zobowiązaniach względem ich zasług i pamięci.

Wyjątki stanowią tylko takie potęgi pracy i geniuszu, jak np. Kraszewski i Matejko, dla których cały ogół poczuwa się do należnej czci i umie ją wyrażać odpowiednio.

Obecnie znakomity mistrz pędzla, genialny twórca „Grunwaldu“ i „Hołdu Pruskiego“ obchodzi w tych dniach 25-letni jubileusz swój artystycznej działalności. Dla malarstwa polskiego, wielkie to święto, święto uroczyste, jubileusz arcykapłana sztuki rodzimej.... Przypominać wartość dzieł wielkiego artysty-obywatela, znakomite jego zasługi i wpływ dobroczynny na rozkwit całej szkoły, znaczenie jego twórczości i potęgi natchnienia niebywałej w dziejach historycznego malarstwa — ani tu miejsce, ani potrzeba. Schylić nam raczej czoło wraz z innymi przed genialnym jubilatem i życzyć jemu i sobie złotego wesela z tą sztuką, którą tak ukochał i tak wysoko pod-

nieść potrafił na prawdziwą sławę swego społeczeństwa.

O Kraszewskim krążą wieści, jakoby po ukończeniu swojego processu zamierzał z Drezna przenieść się do Włoch pod cieplejsze nieba i tam pracować dalej, oile nadwątlone zdrowie pozwoli.

Ostatnie przejścia przygnębiły fizycznie sędziwego jubilata, ale umysł jego zawsze świeży i czynny, zawsze niezmordowany i pracowity—nie poddał się ciosowi, którym los pokrzywdził dostojną starość nestora naszej literatury. Tworzy on bezustannie i wypoczynku zasłużonego oddawna nie dozwala sobie; nawet w więzieniu berlińskiem książki i pióra nie odkładał, i czasu nie marnował bezużytecznie, a przekład komedyi Plauta, który niebawem ukazać się ma w druku, nosić będzie smutną i pamiętną datę Moabitu i niemieckiej niewoli, która czynnego i twórczego ducha w polskim pisarzu spętać i uwięzić nie mogła.

Zeszłą pogawędkę zakończyć musieliśmy nekrologią Anczyca, dzisiaj przychodzi nam położyć krzyż przy nazwisku zasłużonego prawnika, zacnego człowieka, przyjaciela młodzieży i miłośnika prawdziwie wielkiej poezyi, ś. p. *Antoniego Stanisławskiego.* Umarł on w Białocerkwi, gdzie bawił podczas miesiący letnich, w wieku sędziwym, bo siódmy krzyżyk dźwigał już na swoich ramionach. Jako były professor kazańskiego uniwersytetu, znany zaszczytnie autor wielu dzieł prawniczych, przed kilkoma laty osiedlił się w Warszawie i tu czynny i sympatyczny udział przyjmował w ruchu literackim i towarzyskim, zajmując się do ostatnich chwil swoich wszelkiemi objawami społecznego, artystycznego i piśmienniczego życia w kraju. Stanisławski wystawił sobie sam pomnik w znakomitym przekładzie: „Bozkiej Komedyi“ Dante'a, nad którym dwadzieścia lat sumiennie i gorliwie pracował.

Pomimo siwizny na głowie, serce i umysł zachowały młodość i żywość, zapał i dzielność rzadką dziś u wnuków starego pokolenia.

W Jarmolińcach na Podolu zmarł 20 z. m. zdolny muzyk i przyrodnik, Dr. *Henryk Szopowicz*, dobiegając kresu siedmdziesiątki lat pracowitego i pożytecznego żywota. Jako lekarz pozostawił po sobie piękne wspomnienia, jako artysta i kompozytor, dobił się rozgłosu zasłużonego. Mazurki jego i piosenki pełne prostoty i melodyi miały wiele uroku swojskości.

Dwaj starcy, młodzi duchem i sercem — niech spoczywają w pokoju!...

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera,

(Dalszy ciąg).

II.

W tymsamym czasie wesoło było w restauracyi Hotelu Saskiego. Pan Edward podejmował szpakowatego, czerwonego pana, dobrodusznie uśmiechniętego. Rozmowa wrzała, dowcip tryskał—szampan się lał.

Gucio przepadał za szampanem, za tym jednym, jak go nazywał, dobrego tonu, trunkiem. Lubił wprawdzie i czerwone francuzkie, lecz wtedy, gdy je można było dolewać do szampana.

Pan Edward wniósł zdrowie szpakowatego jegomości; panna Jadwiga, chcąc mu dać dowód swej sympatyi i uznania, chociaż nie lubiła wina, wypiła pełen kieliszek. Na bladą zwykle jej cerę wystąpiły w kształcie różowych obłoczków rumieńce, oczy nabrały blasku, usta ułożyły się do uśmiechu. Dziewczyna była rozmarzona winem, walką i nadzieją zwycięztwa.

Krótko ostrzyżony, o ceglastej cerze szpakowaty pan śmiał się głośno, dowcipkował, patrząc łakomie na powabną dziewczynę. Kwadratowa jego głowa wstrząsała się od śmiechu. Białe, duże zęby wychylały się zpoza grubych warg. Ręka, ozdobiona w trzy duże sygnety, bawiła się grubym łańcuchem od zegarka. Gdy usiłował wyrazić się dowcipnie, używał niemieckiego języka.

Pan Edward potakiwał niemieckim dowcipom, Jadwiga udawała, że ją bawią. Tylko Gucio milczał, wpatrując się w talerz.

Gdyby tesame koncepta wypowiedziane były pofrancuzku, Gucio-by je uważał za świetne i eleganckie.

— Przy szampanie tylko francuzczyzna ma racyą bytu; niemiecki język dobry w koszarach—powtarzał.

Szpakowaty pan lat temu dwadzieścia był porucznikiem huzarów J. C. K. Mości. Dobrze zbudowany, przystojny, zawołany jeździec i tancerz, zdobył tkliwe serduszko bogatej wdowy, został jej mężem, a po dwudziestoletniej nieskazitelnej służbie otrzymał w spadku majątek wdowi. Był to więc dziś młody wdowiec, właściciel półmilionowego majątku, pięknych koni, gęstej, krótko ostrzyżonej, czupryny, murowanego dworu, i jak na Galicyą, rozległego parku. Zdrów i czerstwy, głośno mówił i głośno się śmiał. Wszystko to razem czyniło go świetną partyą, i nie dziw, że się starano o niego, i nie dziw że p. Edward bawił się jego konceptami, p. Jadwiga czarowała go, a pani Balbina i Gucio przebaczali mu jego niemczyznę.

— Chciałbym pani koniecznie sprezentować parę moich kasztanów — odezwał się porucznik do Jadwigi

— Warto, żebyś je widziała - dodał Gucio ty, co tak namiętnie lubisz konie. Powiadam ci: cacko!... trzyczwarte krwi arabskiej.... maść złota.

— Pani tak lubi konie? a to wyśmienita rzecz! —słowo honoru daję, że moje kasztany warte są aby je pogłaskać.

— Radabym, lecz cóż, gdy dziś jechać musimy.

— A cóż to za mus? Edwardzie, pani dobrodziejko! panie Gustawie.... uproś-że mamę.

Pan Edward spojrzał na żonę, p. Balbina na córkę.

Jadzia westchnęła.

— Bardzo nam przykro, lecz trzeba — prawda, mamo?

Matka wspomniała coś o obowiązkach.

— Jakie obowiązki? Czy to panie jutro do apelu stają, czy je czeka exekucya?... bo jak Boga kocham, już nie wiem co? Edwardzie, wstaw się za mojemi kasztanami. Na to je chowałem, aby się nikt na nie nawet nie spojrzał.

— Jadziu—zabrał głos ojciec—w imieniu złocistych kasztanów, proszę cię: daj się ubłagać. Balcia jest tak słabą dla jedynaczki, że pójdzie za jej wolą.

— Cóż mam robić!—szepnęła p. Balbina.

— A więc tylko od pani zależy. No, i cóż biedne moje szkapy, nigdy nie będą robić fenster-parady?

— Jadziu!—zawołał Gucio.

— Ulegam—rzekła Jadzia, patrząc rozmarzonemi oczami na porucznika.

— Komu? — spytał, rumieniąc się od promieni oczu dziewczyny.

— Mamie, ojcu—odparła zakłopotana.

— Myślałem, że mym kasztanom.—Tu uznał za właściwe rozśmiać się głośno.

— Jeszcze ich nie widziałam.

— Jedziemy na Wolę o siódmej rano. Poruczniku, stawaj do apelu ze swemi kasztanami.

— Porucznik, salutując—powtarzał:

— Podług rozkazu.

Po kolacyi, uśmiechnięty i tryumfujący, poszedł do siebie; rodzina p. Edwarda zebrała się na walną naradę, w elegancko umeblowanym salonie Hotelu Saskiego.

— No i cóż myślicie i co mówicie? — zagaił posiedzenie p. Edward.

— Przystojny i czerstwy mężczyzna—odezwała się p. Balbina, unikając spojrzenia córki.

— Być może, że jest nieco szorstki—zabrał głos Gucio,—ale szorstkość jest teraz w modzie. Prawie całe młode pokolenie naszej arystokracyi jest troszkę szorstkie. Naprzykład Gienio i Piotruś—jakże się grubo śmieją i czego nie paplają!—a mimoto należą do pierwszych rodzin w Polsce.

— Mój Guciu! Co wolno młodzieży pierwszych rodzin, to nie pierwszemu lepszemu szlachcicowi—odparła z pewnym tonem p. Balbina.

— Prawda mamo, chciałem tylko powiedzieć, że jest to ogólny ton w dzisiejszym czasie panowania pozytywizmu.

— Dajcież pokój pozytywizmowi — przerwał p. Edward.—Przyznaję, że czuć na moim przyjacielu dziesięcioletnią służbę w armii. Lecz swoję żołnierskość, jeżeli tak chcecie, będzie mógł ukryć w pięknym pałacu, wspaniałym parku—na zimę w Rzymie i Neapolu, na wiosnę w Paryżu, w lecie w Trouville. Podług mnie, partya, chociaż szorstka i twarda, jest świetna. Czemże my wobec niego jesteśmy?—biedakami!

— Przepraszam ojca: my względem niego stoimy o całe niebo wyżej, pod względem cywilizacyi i dobrego tonu—odparł z godnością Gucio.

Pan Edward wzruszył ramionami, patrząc na syna, jakby chciał wyrazem twarzy dać mu uczuć, aby nie drażnił ambicyi siostry.

— Chciałem tylko to powiedzieć—poprawił się Gucio—że jeżeli on przynosi ze sobą majątek, to my mu dajemy stosunki. Jadzia ma prawo bywać w pierwszej arystokracyi i będzie bywać — jeżeli ją tylko będzie stać na to.

— Mój Guciu, to się rozumie. Jeżeli bywa Kobuzińska, Dobrzycka—to ona rej powinna wodzić.

Jadzia z opartą głową na poręczy fotelu, patrząc nieruchomie w sufit—milczała.

— Dziś sprawa tak stoi, że wszystko zależy od decyzyi Jadzi.

— Przyszłość nasza jest w jej ręku—poparł ojca Gucio.

Zrobiło się cicho. Matka, syn i ojciec spojrzeli na Jadzię.

— Ja zrobiłam swoje—rzekła sucho.

— Dokończ, moje dziecię—rzekł ojciec.

— Sprawa ta, wprowadzona na utorowaną drogę, powinna się sama dalej toczyć — odparła Jadzia z pewnym rodzajem wysiłku i znużenia.

Ojciec pocałował ją w czoło.

— Jadzia ma obowiązki względem nas i Gucia—dodała p. Balbina, patrząc oczami pełnemi miłości na syna.

— Ależ, moja Balciu, my mamy obowiązki względem naszych dzieci! Gucio zaś, jako mężczyzna, powinien raczej mieć obowiązki względem siostry.

— Nie uchylę się od nich, jeżeli tego będzie potrzeba.

Pani Balbina uśmiechnęła się ironicznie. Jadzia, milcząca i poważna, przeszła do drugiego pokoju.

— Szanujcie jej boleść i walkę — szepnął pan Edward.

— Jaką—pochwyciła matka.

— Jakto? nie widzicie, że zająć się porucznikiem niepodobna. Czy on wytrzyma porównanie naprzykład z Władysławem?

Pani Balbina się uśmiechnęła, Gucio gniewnie wzruszył ramionami.

— Tyś temu winien: nie należało wpuszczać tego dzierżawcy do naszego domu.

— O, ja zawsze wszystkiemu jestem winien! lecz mniejsza o to—odparł p. Edward. Dość, żeśmy się wybornie zabawili—dodał głośno.—Porucznik jest wesoły i oryginalny. Cieszę się z jutrzejszej wycieczki. Dobranoc ci, Guciu. Jutro przyjeżdżaj z porucznikiem.

Gucio pocałował w ramię ojca, w twarz matkę, pochwycił kapelusz i wybiegł, odprowadzony wzrokiem Balci, zakochanej, zwyczajem matek, w jedynaku. Bo też dorodny był z niego chłopiec! wysoki, szczupły, blondyn, o gęstych włosach i malutkich faworytach, na bladej twarzy. Dotego oczy miał niebieskie, podobne do oczu siostry, nos zadarty lecz nieznacznie i usta, wprawdzie za grube, lecz świeże.

— O mego Gucia się nie boję—on zrobi karyerę — zdecydowała p. Balbina, patrząc dumnie na męża.

— Lepszą niż ja, zaręczam ci—odparł, mszcząc się p. Edward.

Pani Balbina nic nie odpowiedziała. Spojrzała

przymrużonemi oczami na męża i poszła do sypialnego pokoju.

— Balcia jest pyszna—rzekł do siebie p. Edward, kładąc się. — Formalnie ma pretensyą do mnie, żem się bogato nie ożenił. Szkoda, że ona nie poszła za porucznika: para byłaby wyborna. Żal mi Jadzi.... lecz sama chce. Któż mógł przeczuć, że mój przyjaciel po dwudziestu latach będzie tem, czem jest?

Gdyby tak porucznik zajął miejsce Władysława, a Władysław porucznika, byłoby wybornie. Władysław, przy tak dużym majątku, zdobyłby sobie jedno z wybitniejszych stanowisk w kraju.— Ładna byłaby z nich para. Ludzie-by mi zazdrościli....

A tak, będę skazany, jeżeli będę chciał być w towarzystwie mej córki, na to, abym się śmiał głośno z koszarowych dowcipów i wysilał na ciągłą admiracyą rzeczy najzwyklejszych w świecie. Ale, że Jadzia tak pracowała zawzięcie, tyle wysiłków, tyle wdzięku roztoczyła—i dla kogo i przedkim? Oj, kobiety, kobiety, kto was odgadnie?! Ja nie, nie jestem ani poetą, ani filozofem. Ha, cóż robić?—przynajmniej zasypiam spokojnie. Los mego dziecka zabezpieczony. Będzie panią i powinna dać sobie radę z dymissyonowanym Marsem.

Panna Jadwiga przytuliła głowę do poduszki, cicho płakała. To jej jednak nie przeszkadzało nazajutrz wyglądać uroczo, uśmiechać się i głośno zachwycać pięknemi kasztanami; mówić komplimenta porucznikowi i czarować go.

Porucznik, jak po większej części synowie Marsa, był przedewszystkiem próżny i zarozumiały. Wierzył w swą piękność, rozum, dystynkcyą i bogactwo; wierzył, że jest zdolnym podbić serce każdej pięknej i młodej kobiety: a że był chciwy i oszczędny — marzył o zrobieniu partyi.

Piękność Jadwigi, jej wielkoświatowe obejście i błyskawiczne spojrzenia, odurzyły czterdziestoletniego wdowca; był pewny, że jest kochanym; wierzył, że piękność kasztanów podniesie i jego wartość w oczach panny.

Nie oświadczył się jednak na Woli Justowskiej, jak tego był pewny p. Edward. Idąc za tradycyą rządu, któremu wiernie dziesięć lat służył, nie odznaczał się, ani stanowczością ani gwałtownością w postanowieniach—wyczekiwał.

Państwo Edwardowie musieli wracać do siebie. Gucio został, aby w dalszym ciągu słuchać wykładów prawa, marzyć o karyerze, o arystokratycznych stosunkach, o wizytach pod Baranami i tympodobnych rozkoszach tego świata, jakie się w odległej perspektywie przedstawiają każdemu młodemu szlachcicowi, uczącemu się prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Są wprawdzie wyjątki wykolejonych umysłów, których marzenia płyną w odmiennych kierunkach, lecz te, chwała Bogu, nie są liczne.

Kasztany porucznika zawiozły go do jego pałacu i wspaniałego parku, a przedewszystkiem do ulubionej stajni.

I tak niespodzianie wytworzyło się dużo kwestyi zawieszonych w powietrzu, a czekających rozwiązania.

III.

Pan Edward, chcąc wynagrodzić bohaterstwo córki i jej poświęcenie dla rodziny, pojechał zaraz nazajutrz oddać wizytę Władysławowi, aby ściągnąć go rychło do Żurawna.

— Po tak świetnie zdanym examinie przed porucznikiem, jestem spokojny o moją Jadziulę—powtarzał. I dlaczegóżbym jej nie miał zrobić rozrywki towarzystwem rozumnego i dowcipnego młodzieńca? Niech się zabawi przynajmniej teraz, póki jest panną.

O Władysławie, o niebezpieczeństwie dla jego serca, o powstałych ztąd zawodach i cierpieniach, nie pomyślał. Nie nauczył się w tym kierunku zastanawiać i dlatego nie poczuwał się do odpowiedzialności. Mimo całego naszego sentymentalizmu, kwestye te u nas nie są traktowane poważnie.

Władysław nie dał długo czekać na siebie. Zemsta ma również dzielne skrzydła, jak miłość. Cóż dopiero gdy są z sobą w zgodzie, gdy się wzajemnie wspierają!

Staranniej niż zwykle ubrany, blady—gdyż serce mu biło, a oczy świeciły blaskiem i usta drgały nerwowym uśmiechem—przebiegł po kamiennych stopniach, prowadzących na werendę i niepostrzeżony dostał się do saloniku wysłanego dywanem.

Panna Jadwiga, zagłębiona w fotelu, przysłonięta ciemnemi liśćmi fikusa i olbrzym.ą kamelią, czytała. Młodzieniec wpatrywał się w nią, z pewną rozkoszą, podsycaną przez namiętność i gniew.

— I ta piękna, o tak szlachetnie wyrzeźbionych rysach dziewczyna, odda się z uśmiechem szczęścia nieokrzesanemu brysiowi! Ta, mówiąca ze znajomością wielkiego poety o najdelikatniejszych odcieniach uczuć, oburzająca się na brzydotę ludzką i jej chciwość....

Dziewczyna podniosła oczy.

Jedno krótkie: ach!—rumieniec przestrachu na twarzy, uśmiech radości i wyciągnięta ręka na powitanie.

— W samą porę zjawiasz się pan.

— Cieszę się — odparł młodzieniec nieco zmieszany serdecznym i przyjacielskim tonem, pięknej dziewczyny.

— Czytałam jakieś przerażająco-nudne „misterya“, które nikogo nie obchodzą. Prawda, że epoka tajemnic, zatrutych sztyletów i podziemnych intryg minęła...

— Jeżeli one nie są już zdolne pani rozerwać....

— Ależ dobić mnie mogą.

— Uprzedzić je zatem i skazać na stos: niech giną w płomieniach.

Rozśmiała się dziewczyna.

— Zwierzę się panu z jednej tajemnicy.

— A więc wracają.

— Niestety, jeszcze nie spalone. Od niedawna zaczynam obawiać się nudów, które zdaleka, jak wychylające się ciemne chmury z wierzchołków naszych gór grożą mi.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Sierpniu 1883 r.

Jakby przeczuciem wiedziony składałem tu świeżo, z okoliczności odczytu Prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk o życiu i pracach Tytusa hr. Działyńskiego, hołd rzewny cnotom jego małżonki. W chwili, gdy owe słowa wdzięcznego uznania pojawiały się w *Bluszczu*, zgon tej zacnej matrony osierocał ubogich miasta naszego i wogóle całe społeczeństwo poznańskie. Przez kilkadziesiąt lat z rzędu Celestyna Gryzelda z hr. Zamoyskich hr. Działyńska stała na czele wszystkich dobroczynnych u nas instytucyi, wszelakich dzieł miłosierdzia, zdobywając sobie zaszczytne miano matki ubogich i wielkiej jałmużnicy grodu Przemysławów. Nad jej ofiarność chętną i gotowe poświęcenie, mamy ochotę stawić i sławić roztropność, z jaką szafowała datkami swemi. Nie ograniczając się na łatwem rzuceniu jałmużny potrzebującym, na niesieniu jednorazowej pomocy ubogim, zaradzała przyszłości, dźwigając niejednego z moralnego upadku, z próżniactwa i ruiny, obmyślając środki uczciwego zarobku i uszlachetniającej pracy. Ileż firm polskich ocaliła ona gotowością kredytu i pożyczką z własnych funduszów; iluż przemysłowcom wskazała drogę zarobku; ilu kupcom wróciła cześć a przysporzyła chleba! Mężna to była i mądra niewiasta w całej pełności ewangelicznego onych słów znaczenia, o niezłomnym duchu i niestrudzonym sercu. Z jej zgonem zamyka się Pałac Działyńskich, ta przystań wszelkich rozbitków, przytułek ubogich i nieszczęśliwych, z jej śmiercią kończy się cały promienny okres dziejów miłosierdzia chrześcijańskiego w mieście naszem. Szczęściem tak wielka cnota zostawiła po sobie dziedziczki chętnie podejmujące tradycye macierzyńskie, a dobroczynne zakłady w Kórniku i Rymanowie wymownie świadczą o duchowem spadkobierstwie córek najzacniejszej matki. Znikają z kolei postacie pełne uroku i hartu, które nas wiązały z przeszłością, ubywa matron i starców, powag społecznych coraz-to mniej wśród nas widnieje: a ztąd ustrój towarzyski chromać i szwankować musi, bo nic nie zastąpi obecności i przewodnictwa starych i starszych, dla młodszego pokolenia.

Czcigodny prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, uczciwszy w poprzednim odczycie pamięć Tytusa Działyńskiego, na ostatniem przed letnim rozjazdem zebraniu uczonego grona wygłosił zajmujące studyum *o zbytku*. Rzecz swą opierając w części na znakomitej pracy francuzkiej Baudrillarta, nie pominął i zwrotów koniecznych ku aktualnym i miejscowym warunkom. Zbytek osobisty, a więcej jeszcze emulacya zbytku: oto rak toczący nasze społeczeństwo, a życie nad stan głównym powodem tylu ruin i upadków majątkowych. Skandaliczna świetność ostatniego poznańskiego karnawału otworzyła oczy niejednemu na właściwe przyczyny zubożeniu szlachty naszej. Ztąd odczyt p. Stanisława Koźmiana osobnego nabierał znaczenia. Szkoda, iż przelotnie zabrzmiał w sali gmachu muzealnego, a nie został rozszerzony i udzielony ogółowi—zamieszczeniem w którem z czasopism naszych.

W każdym razie, jeśli urodzajny rok przeszły dał pochop do rozwielmożenia się zbytku i rozrzutności, ani mowy być nie może o kosztownych zabawach i strojach w ciągu idącej zimy, po klęskach, które przeciągłą słotą zaciężyły nad tegorocznemi żniwami. Pocieszano się myślą, że lepszy jeszcze deszcz i burze, od katastrof podobnych zawaleniu się Casamiccioli; ale tymczasem, choć nawałnice nie zburzyły miast ni siół naszych, gotowe one w skutkach swych być strasznemi. Powszechne słychać skargi na psucie się ziemniaków, zaczem widmo głodu występuje groźnie, unosząc się mianowicie nad biednym Szlązkiem, stokroć bardziej dotkniętym w tym roku, aniżeli przed kilku laty, gdy tak skwapliwie zewsząd bieżono nieść pomoc nieszczęśliwym. Nieuregulowanie biegu rzek ponowiło tam klęski, w tak olbrzymich rozmiarach, że prywatna dobroczynność nie może wystarczyć, i chyba tylko rząd zaradzić złemu jest w stanie, byle szybko przedsiębrał odpowiednie środki. Zalewy wypadły przed żniwami, fale płynęły o metr nad wysokością złocącego się zboża, wszystko wymokło i wygniło, tem bardziej, że z powodu powtarzających się nawałnic, woda powoli i leniwo opadała. I w księztwie, mniej obfitem w rzeki, nie brakło powodzi, Prosna i Noteć, Obra i pomniejsze strumienie wezbrały znacznie, zamieniając w jeziora żyzne okolice i łąki, które w tym roku nie dały siana. Smutne są tedy rolników widoki i zakończenie żniw nie nosi zwykłej cechy wesołej nadziei. Mimo to, tradycyjny wyżynek, w księztwie *Wieńcem* nazwany, odbywa się powszechnie w ciągu Września.

Szkoda, iż zaniechano myśli ułożenia odpowiedniej wystawy pamiątek Wieku Króla Jana w Poznaniu, a więcej jeszcze, że nie postarano się o wysłanie ich do Krakowa, gdzie tyle ciekawych artystycznie i historycznie zbierze się zabytków. A miałaby z czem wystąpić i popisać się nasza dzielnica! W bibliotece kórnickiej hr. Działyński zgromadził jednę z najcenniejszych kollekcyi zbroi polskich, a więc nie brak tam pamiątek z Odsieczy Wiedeńskiej. Sąsiedni Rogalin hr. Edwarda Raczyńskiego posiada oryginały listów króla Jana do Marysieńki, a nadto w zniszczonej podczas zaburzeń 1848 r. zbrojowni niejedne jeszcze drogie i ciekawe szczątki odnaleść-by się dały. Osiedli na ziemi wielkopolskiej Miączyńscy posiadają niemało pamiątek po wsławionym towarzyszu króla Jana, Atanazym Miączyńskim. Gdzieś daleko w pruskim cichym kościołku, odnaleziono niedawno przerobioną na ambonę kolaskę Sobieskiego. Łączcy z Posadowa posiadają mnogie łupy z wyprawy, w której jeden z ich przodków brał udział orężny. Są tam ubiory, buńczuki, buzdygany, zbroje i czapraki tureckie lub

chrześcijańskie. W Szamotułach, miasteczku wsławionym dramatyczną historyą Halszki z Ostroga, która tu, w zamku drugiego, nienawidzonego, małżonka, Łukasza Górki, surowe znalazła więzienie, w Szamotułach, w kaplicy Kostków znajduje się dotąd ołtarz drewniany, przenośny, o którym wieść niesie, że służył do odprawiania Mszy polowej w obozie pod Wiedniem. Tam także zachowała się podziśdzień pieśń pobożna, upamiętniająca w niektórych zwrotkach wyprawę wiedeńską:

Witaj śliczna i dziedziczna
Szamotuł Pani,
My poddaństwa twego Państwa
Szamotulani.
. . . . . .

Król Jan trzeci śmiało leci
Z Turkiem w attaki,
Szczęśliwie z nim wojuje
Z wygranej tryumfuje,
Kiedy Ciebie
W tej potrzebie
Na pomoc bierze.

Jeszcze kula nie była,
By tę szatę przeszyła,—
I granaty
Od tej szaty
Odpadać zwykły:
Więc koronę
Za obronę
Dać ci należy.

Na tę miarę i formę istnieje kilka pieśni Sodalisów do Matki Boskiej. Muzykę do nich miał dorobić bernardyński zakonnik z Bydgoszczy, sławny muzyk nazwiskiem Szyjka. Rzeczywiście, przypisywane mu melodye kościelne noszą cechę prawdziwego natchnienia.

Choć stosunkowo część tylko mała Sobiescianów poszła z Księztwa na krakowską wystawę, znajdzie się tam dział poważny zabytków nadesłanych z Wielkopolski, między innymi sławne Arrasy z XVII wieku, przechowane w kościele parafialnym, w Czaczu, portret Maryi Klementyny Sobieskiej odnaleziony w Rzymie przez Kazimierza Chłapowskiego i t. d. i t. d. Zapukano i do starożytnego miasta Wschowy, poniemiecku *Fraustadt*, aby otrzymać dla krakowskiej wystawy spółczesny, a więc historyczny, potret króla Jana, darowany przez niego Gildzie miejskiej we Wschowie. Gazety szlązkie upamiętniły przed kilkoma dniami jubileuszową rocznicę przejścia rycerstwa polskiego przez Szlązk, po drodze ku zagrożonej stolicy Austryi. Odświeżono mianowicie wspomnienie przybycia króla Jana do Bytomia, gdzie odetchnęły śpieszące jego wojska szeregi.

Oczywiście i spekulacya podjęła nadarzającą się sposobność, aby wyzyskać na swój sposób pamięć wielkiego bohatera. Dość spojrzeć na czwartą stronę naszych dzienników, aby spostrzedz cały szereg inseratów *jubileuszowych*. Ci ogłaszają zegarki z portretem Jana III-go, inni transparenta, biusty lub medale; jedni polecają ognie sztuczne, inni nawet fryzury na modę Sobieskiego... Najstalszą pamiątką i najkorzystniejszym owocem tego święta okażą się wydawnictwa ludowe, książek i broszur opisujących Odsiecz Wiedeńską w przystępnej i zajmującej formie.

Z nowszych książek wspomnijmy *szkice i opowiadania* zasłużonego konserwatora zbiorów Towarzystwa Przyjaciół Nauk p. Kanteckiego. Rozproszone po czasopismach odcinki zebrały się tu w całości niepośledniej wartości: naczelne miejsce przyznać należy rozprawie p. t. *Karol XII w Turcyi i Polsce*. Biograf Stanisława Poniatowskiego, kasztelana krakowskiego, a ojca niedołężnego króla, znajduje się jak u siebie w tym okresie historyi. Poniatowski przez czas dłuższy był rycerskim towarzyszem bojów i znojów króla szwedzkiego: śledząc więc szczegóły życia polskiego bohatera, bliżej zapoznał się autor z postacią lwa północy. Rzecz o początkach Zakładu Imienia Ossolińskich we Lwowie niezmiernie ciekawym jest przyczynkiem do dziejów naszej kultury, a zachowanie pomyślne i rozwój tej zachrony nauki i pamiątek mimowoli smętną myśl zwraca ku tylu innym zbiorom i zakładom niepowrotnie zgładzonym i zniknłym.... Lżejsze przedmioty w książce pana Kanteckiego przegradzają poważniejsze studya: wspomnijmy *Samozwankę*, dzieje przebiegłej kobiety, która z wiejskiego stanu dowcipem i zręcznością umiała w stolicach odegrać rolę pierwszej salonowej lwicy. Sama pobieżna wzmianka tytułów pojedyńczych szkiców daje miarę barwnej rozmaitości którą, okrom gruntowniejszych przymiotów, zaleca się ta sympatyczna publikacya.

Żywe zajęcie wzbudziło tu poważne wydawnictwo pana Adolfa Pawińskiego w dalszym ciągu *Zródeł dziejowych*,—owe dwa tomy poświęcone opisowi geograficznemu i statystycznemu Wielkopolski w wieku XVI, za któremi nastąpią niezawodnie studya nad resztą kraju w owej świetnej epoce. Najwięcej ciekawości wywołał spis ówczesnych właścicieli pojedyńczych włości, w formie metryki dóbr rycerskich podany. Szybkie wygasanie najprzedniejszych rodów naszej dzielnicy uderza tu przedewszystkiem. W krótkim czasie znikają Górkowie, Kościeleccy, Czarnkowscy, Konarzewscy. Zastanawiającym objawem jest szybkie przechodzenie własności z ręki w rękę. Niema prawie przykładu, aby dzierżony w XVI w. kawał ziemi podziśdzień przy jednem pozostał nazwisku. Zdumiewający wyjątek stanowi wieść Niegolewo, dziś jeszcze siedziba potomków Jakóba Niegolewskiego, wspomnianego jej właściciela w wieku XVI. Warto podnieść i rys znaczący, wychylający się z tych uczonych kartek: iż możniejszych rodzin wielkopolskich jak Leszczyńskich, Raczyńskich, Działyńskich, nie widać jeszcze w XVI wieku na siedzibach później z ich nazwiskiem związanych. Leszczyńskich niema w Rydzynie, należącej wówczas do Rydzyńskich, z których ostatnia latorośl za dni naszych zniknęła. Konarzewo, dzisiaj własność hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, wiano jego matki z domu Działyńskiej, w XVI stuleciu jeszcze jest gniazdem i siedzibą swych założycieli, Konarzewskich, i dopiero w następnych dwóch wiekach przechodzi w ręce potężnej a wygasłej rodziny Radomickich. Wszystkie te poszczególne wiadomości wiele cennego przydały plonu do zbadania przeszłych dzielnicy naszej stosunków.

Manewra jesienne sprowadziły w niezwykły ruch szeregi wojska zostającego stale w obrębie księztwa. Snują się zewsząd mundury, dalekie grzmią strzały, a powietrze drga niepokojem podżeganym przez półurzędową prassę. Burza naprzemian to ku zachodowi, to w stronie Wschodu zbierać się zdaje. W dzielnicy naszej do 60,000 wojska w pokojowym konsystuje czasie. Zbrojny to pokój, jak się naocznie przekonać można, a militarny ustrój państwa coraz się potęguje mnożeniem środków obronnych, coraz silniejszem obwarowywaniem twierdz i punktów strategicznych, oraz nurtującemi w armii głuchemi wieściami o blizkiej, choć niewyraźnie określanej, wojnie.

Może niedość zajmujący list dziś do was wyprawiam, ale zaciężyła nad kronikarzami pora ogórkowa, u nas głównie powodowana istnemi gminoruchami do wód. *Rome n' est plus dans Rome*: Poznania w Poznaniu darmo szukać, znajduje się on nad morzem w Kołobrzegu i Sobocie, w Górach Szlązkich, w Tatrach lub u źródeł galicyjskich. Przed kilkoma dniami echa tatrzańskie rozniosły miłe odgłosy hołdów, jakiemi w Zakopanem uczczono wymownego posła naszego na sejm pruski, ks. d-ra Floryana Stablewskiego. Za parę tygodni cała ta wędrowna fala powróci z wakacyjnych wycieczek, a wtedy łatwiej mi przyjdzie w ożywionej napowrót stolicy i dzielnicy zebrać plon zajmujących wiadomości.

UCZUCIOWI

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dokończenie).

SCENA VII-ma.

Poprzedzający, **Radca** (*pokazuje się w głębi, z prawej strony*).

Radca (*osłupiały*).

Słodkie Imię Jezus! no, teraz daję wiarę, że tamtego wydziedzicza.... (*ledwo się może utrzymać na nogach, idzie do ławki z prawej strony i pada na nią; generałowa z Grzmockim po lewej stronie*). A ja przez niego chciałem traktować!.... wszystkie moje kombinacye w łeb wzięły....

Generałowa (*spostrzegła radcę, przerażona, krzyknęła*).

Ah !....

Grzmocki (*ogląda się, n. s.*).

Szkandal! słowo honoru daję (*rozchodzą się*).

Radca (*siedzi*).

Proszę, proszę, nie uważajcie państwo na mnie, teraz już wszystko jedno, gdy oliwa wyszła na wierzch.

Generałowa (*n. s.*).

Fatalność, przeznaczenie! (*zbliża się do radcy, zmieszana*). Panie radco!

Radca.

Co pani każesz?

Generałowa.

Powiedz mi pan, co sobie pomyślałeś o mnie?

Radca.

To już niech przy mnie zostanie.

Generałowa (*z godnością*).

Widzę, że pan gotów byłbyś najfałszywiej tłómaczyć sobie to, czego przypadkowo byłeś świadkiem: więc chociaż to miało jeszcze pozostać w tajemnicy, zmuszoną jestem przedstawić panu mojego męża (*wskazuje na Grzmockiego, który się zbliża*).

Radca (*zrywa się*).

Męża!... pan jesteś mężem?

Grzmocki (*salutując powojskowemu*).

Do usług.

Radca.

Generałem?

Grzmocki.

Nie, tylko lejtnantem przy landwerze, ale mężem generałowej.

Radca (*n. s.*).

No, podobnej nikczemności świat nie widział! Mając tak święte obowiązki! jeszcze, żeby to tak sobie jakaś fantazyjka na boku.... to nie mówię, ale.... (*nagle chwyta się za głowę*) Ah! co się zemną robi! jakiś zawrót (*chwyta się za ramiona*)! Krew mnie uchodzi.

Generałowa (*przestraszona*).

Co panu jest?

Radca (*słabym głosem*).

To te wody, — przy tylu wzruszeniach (*p. c.*). Ah! (*traci przytomność*). Ratujcie mnie! (*omdlewa na rękach Grzmockiego*).

Generałowa.

Dla Boga! Apoplexya, uciekam! Każę zaprzęgać, nie zostanę tu jednej chwili (*biegnie nalewo*).

Grzmocki (*woła za nią*).

Ale niechże tu kto przyjdzie, bo go trzeba położyć.

Generałowa (*nie słucha go*).

Dobrze! dobrze! (*odchodzi śpiesznie do domu*).

SCENA VIII-ma.

Grzmocki.—Radca.—Po chwili **Kamilla,—Floryan.** Potem **Zosia.—Janek.—Karol** (*w rozmaitych odstępach czasu*).

Grzmocki.

Ja go, przecie, sam nie będę dźwigał—szkandal!

Radca (*p. c. przychodzi do siebie*).

Co się to zemną stało? zemdlałem? (*podnosi oczy, spostrzega Grzmockiego, który go podtrzymuje; robi gest oburzenia; n. s.*) ten, ten! bez czci i wiary! (*stęknął, zamyka znowu oczy i opuszcza się na jego ręce*).

Grzmocki.

Niechże go kaci porwą, jaki ciężki! a tu nikogo nie widać, puszczę go, jak honor kocham! Żeby do dyabła nie kichnął mi na ręku, pfe! jak zsiniał!

Kamilla (*wbiega*).

Co się stało, dla Boga! (*spostrzegła radcę*) Jezus Marya! Mój biedny ojciec, nie żyje! (*klęka przy nim*).

Grzmocki (*zły*).

Ale, gdzież tam nie żyje! Najformalniej zemdlał, nie słyszy pani, jak chrapie! Tylko na miłość boską, niech kto przyjdzie mi pomódz, albo przyniesie jaki fotel, bo puszczę.

Kamilla (*do Floryana, który wszedł za nią*).

Panie Floryanie! zmiłuj się pan, fotel, prędko! (*dobywa flakonik i daje wąchać ojcu. Floryan biegnie do domu i po chwili wytacza fotel, na którym wraz z Grzmockim sadzają radcę, poczem Grzmocki zaraz odchodzi nalewo*).

Zosia (*wbiega, do Grzmockiego, z którym się spotyka*).

Co? wuj zasłabł?

Grzmocki.

Nic mu nie będzie.

Zosia.

Boże! Boże! (*klęka przy radcy, obok Kamilli*).

Grzmocki (*n. s.*).

Floryana, jak widzę, bezpiecznie już można z nim zostawić—jest jak u siebie (*wchodzi do domu, ale zostaje jeszcze w ganku, na progu*).

Zosia.

Wujaszku, co ci-to? (*do siebie*). To ja pewno tego wszystkiego narobiłam; musiał się zirrytować tym listem (*całuje go po rękach*). Wujaszku! ah! otwiera oczy!

Kamilla (*uradowana*).

Przychodzi do siebie.

Radca (*stara się ciągle uwolnić nos od flakonika, który mu daje wąchać Kamilla*).

Dajcież mi pokój z temi perfumami zakazanemi (*kicha*)!

Kamilla (*j. w*).

Na zdrowie!

Zosia (*taksamo*).

Na zdrowie! chwała Bogu!

Grzmocki (*n. s.*).

Powiedziałem, że nic mu nie będzie (*odchodzi*).

Janek (*wpada z prawej strony*).

Złodziej w krzakach! złodziej w krzakach!

Zosia (*prędko do Janka z gestem*).

Cicho! ty! (*biegnie do niego*) Powiedz mu, niech się teraz nie pokazuje!

Janek (*zdziwiony*).

Kto? złodziej? (*Zosia objaśnia go prędko n. s i za sceną; Janek odchodzi zatykając usta, żeby się nie śmiać*).

Zosia (*wraca*).

Ah, Jezus! tego tylko brakowało, żeby....

Kamilla (*cicho do Floryana*).

Powiedzieć mu teraz, czy nie, o naszem porozumieniu?

Floryan.

Sądzę że można: wszak-że byłem przez niego upoważniony.

Kamilla.

To go powinno ucieszyć (*p. c.*). Ojczulku....

Zosia (*klęka znowu przy radcy, obejmuje go*).

Wujaszku, co ci to było?

Radca (*spogląda na nią, kiwa głową, p. c.*).

Mój Boże! i ty się pytasz! (*odpycha ją lekkim ruchem*) niewdzięczna!

Zosia (*przymila się*).

Ja, niewdzięczna! wujaszku, cofnij zaraz to, coś powiedział!

Radca.

Nie irrytuj mnie! czuję, że parę jeszcze takich attaków—a już po mnie.

Zosia.

Będziesz żył razem z nami! (*w samo ucho*). Ja wiem, co sobie myślałeś: że ja jestem taką egoistką, iż korzystałabym już tak bezwarunkowo z tego prawa, jakie mi podobno służy do odebrania od ciebie jakichś tam pieniędzy? Mój Boże! gdzieżbym ja miała serce, gdybym nie pamiętała na to, żeśmy się chowały razem z Kamilką, żeś mnie kochał, pieścił, że nie zrobiłeś mi nigdy żadnej krzywdy....

Radca (*który, słuchając pilnie tych słów, rozrzewniał się stopniowo; teraz ze skruchą*).

Zosiu! żebyś ty wiedziała, co się teraz we mnie dzieje!

Zosia.

A we mnie! ja się tak przeraziłam, gdyś zasłabł! tyle sobie miałam do wyrzucenia! mój wujciu, daruj mi wszystko! mój najdroższy! (*wybucha płaczem*).

Radca (*płacze głośno*).

Cóż ja ci mam darować? (*przytula ją*). Poczciwe dziecko!

Zosia (*przestaje płakać*).

Tylko się nie roztkliwiaj! Bardzo proszę. To ci może zaszkodzić. No! nie płacz, uśmiechnij się, tak! i o nic się nie kłopocz; pamiętaj sobie, że masz dwie córki.

Radca (*ociera oczy*).

Słowa nieboszczki mojej Domicelki.

Zosia.

Tem, co ma być moje, dzielę się z Kamilką, i kwita! (*wstaje*).

Kamilla (*rzuca jej się w objęcia*).

Jakie ty masz złote serce! Przyjmuję... (*do ucha*) chociaż tylko pozornie—żeby ojca uspokoić.

Zosia.

Cóż ty znowu! Chcesz zemną grać komedyą? Nie pozornie, tylko naprawdę! Wszakże i ty byłaś gotową tosamo zrobić dla mnie (*n. s., ogląda się*). Ah! teraz on-by się tu przydał. Taka sposobna chwila! Że też tam tak siedzi w tej swojej kryjówce! (*idzie naprawo; p. c. spotyka się z Karolem, który właśnie ostrożnie wchodzi na scenę, a zanim zaraz Janek śmiejący się, który po chwili odchodzi do domu*). Tak? ładnie pan mnie usłuchałeś! nie mówiłam, żebyś się pan ztamtąd nie ruszał?

Karol.

Mrówki mnie obsiadły, a przytem, zdawało mi się, że usłyszałem płacz pani.

Zosia.

Jaki pan masz słuch! (*ciszej*). Już wszystko dobrze, chodź pan! (*prowadzi go za sobą, potem zostawia i zajmuje dawne miejsce u kolan radcy; zwracając głowę w stronę Karola*). Prawda, panie Karolu, że pan to aprobujesz? odstępuję Kamilci połowę tego, czem będę miała prawo rozrządzać.

Karol.

Powiedziałem już, że to postanowienie pani uszczęśliwia mnie.

Radca (*nieśmiało*).

Ale, cóż znowu panu Karolowi do tego?

Zosia (*kiwnęła na Karola, którego stawia obok siebie*).

Bo to jest mój narzeczony, (*w objęciach radcy, do ucha*) którego kocham za to, że pierwszy mi tę myśl podsunął.

Radca (*p. c. spojrzawszy na oboje, którzy patrzą na siebie*).

Prawdę mówisz?

Zosia.

Jak wujaszka sercem i duszą kocham!

Radca (*p. c*).

Ha! skoro tak, byłoby z mojej strony niesprawiedliwością, gdybym nie powiedział: Niech wam Pan Bóg szczęści! (*kładzie ręce na głowach obojga*).

Zosia (*pocałowała wuja w rękę, podaje obie ręce jednę po drugiej do pocałowania Karolowi*).

Masz pan za to, żeś był cierpliwy (*wkłada rękę pod jego ramię; do radcy*). Wujaszku! a ich nie pobłogosławisz? (*wskazuje na Floryana i Kamillę*).

Radca (*z jowialną nieśmiałością*).

Nie wiem, czy chcą? Nic nie mówią. (*Kamilla klęka przy nim, Floryan całuje go w ramię; do Floryana*) Więc zgoda? co? utuliłeś ją?

Floryan.

O! tak, zgoda panie radco.

Radca (*ściska oboje*).

Bądźcie szczęśliwi! błogosławię was (*ociera oczy*).

Janek (*z papierem w ręku, do Floryana*).

Proszę pana, pan guwerner kazał panu to oddać.

Floryan.

Co to? (*przegląda*) Darowizna dwóch tysięcy rubli, podpisano: Ewelina Grzmocka, primo voto Turzycka. Cóż to znaczy?

Radca.

Ale, bo wy wszyscy nie wiecie, że Floryan ma wujaszka.

Floryan.

Jakto?

Radca.

Pani generałowa dobrowolnie zdegradowała się na guwernerową.

Floryan.

Moja ciotka! (*wszyscy okazują zdziwienie; do Kamilli*) Teraz rozumiem jej postępowanie zemną.

Zosia (*poważnie, z rękoma założonemi na piersiach*).

Panie Floryanie! już też, gdybyś nie podarł tego, miałabym o panu bardzo złe wyobrażenie.... od ciotki, jak od ciotki, ale.... od państwa Grzmockich!

Floryan.

Odgadłaś pani mój zamiar (*z uśmiechem patrzy na Kamillę*); tylko nie wiem, jakie jest zdanie panny Kamilli.

Kamilla (*z uśmiechem*).

Teraz już musimy jej słuchać; jesteśmy na jej łasce. (*Zosia grozi jej*).

Floryan (*drze papier, daje go Jankowi*).

Oddaj to napowrót temu panu.

Janek

Kiedy te państwo właśnie odjechali.

Zosia.

To nic, odeślemy pocztą.

(Zasłona spada).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

— P. Malwina Ogonowska, wykładająca w Uniwersytecie Bolońskim język polski i rosyjski, którego nauczyła się dokładnie przebywając czas dłuższy w syberyjskich prowincyach Rosyi, w liście pisanym do redakcyi *Kraju*, tak przedstawia stanowisko swoje na wspomnianym uniwersytecie. „Kiedy przez dwa lata ostatnie toczył się spór o mianowanie professora na projektowaną katedrę literatury słowiańskiej przy uniwersytecie Bolońskim, a która, niepoparta przez ministerstwo włoskie, upaść-by tymczasem musiała, objawiłam rektorowi uniwersytetu, senatorowi Magni, potrzebę utworzenia najpierw bezpłatnej katedry języków słowiańskich, do objęcia której przez zarząd uniwersytecki i przez młodzież akademicką powołaną zostałam. Świadczą o tem dwa akta urzędowego podziękowania rektora Magni i adres młodzieży uniwersyteckiej, przy końcu roku szkolnego do mnie wystosowany. A więc w murach uniwersytetu i z katedry professorskiej cztery razy na tydzień lekcye zwyż wymienionych przedmiotów wykładałam dwudziestu kilku studentom i na rok następny do tychże wykładów zaproszoną zostałam. Wszystkich przywilejów należących professorom używałam, i przez władze uniwersytetu na wszystkie tam odbywające się konferencye urzędownie zapraszaną bywałam. To tylko wyróżnia mnie od innych professorów, że gdy oni za trzygodzinne w tygodniu wykłady jednego przedmiotu pobierają rocznie po 3,000 franków, ja za wykłady dwóch języków przy codziennych z uczniami korepetycyach, wynoszę tylko zadowolenie moralne.“

Zatem ta polska pani, wskrzeszając stare tradycye uniwersytetów włoskich, kędy kobiety na uczały w roli professorów regularnych, zajmuje rzeczywiście jedną z katedr Uniwersytetu Bolońskiego i prócz pensyi, której się sama zrzekła, używa wszystkich praw przysługujących professorom i urzędownie charakter professora uniwersytetu na sobie nosi, będąc zarazem *pierwszą* w wieku naszym kobietą, zajmującą takie stanowisko naukowe i dotąd jedyną. Że przytem czyni to bezinteressownie, służąc jedynie sprawie ojczystej i sprawie nauki, podnosi ją to wyżej jeszcze, bo wykazuje tem szlachetniejszy nastrój myśli i uczuć.

— Panna Kamilla Różycka Ostoja przedstawiła filozoficzno-historycznemu oddziałowi Akademii Wiedeńskiej turecko-niemiecki słownik z transkrypcyą turecką jak również transskrypcyą tureckiego przekładu Ewangelii Ś-go Mateusza i przekład tureckiej komedyi: „Aijar-i-Hamza“. P. Różycka została przed paru laty za prace w tym kierunku ozdobioną przez cesarza Krzyżem Zasługi. Ułatwienie nauki języka tureckiego jest przy dzisiejszych stosunkach Austryi rzeczą wielce ważną.

— Giulia Garallari, młoda panna, która w roku zeszłym otrzymała od Uniwersytetu Bolońskiego stopień doktora filologii, w roku obecnym została doktorem filozofi, ze znakiem „szczególnego odznaczenia.“

— Małgorzata Boll, Niemka z rodu, córka uczonego fizyologa i professora Uniwersytetu Berlińskiego, Ludwika Traube, a wdowa po Auguście Boll, zmarłym professorze fiziologii przy Uniwersytecie Rzymskim, otrzymała od tegoż uniwersytetu stopień doktora filozofii. Przybyła ona przed czterema laty do Włoch z mężem, świeżo zaślubionym i gorąco ukochanym, lecz wkrótce, bo po kilku miesiącach pożycia utraconym i nie wyjechała już odtąd z Rzymu, aby grób nie pozostał samotnym, a myśli i naukowe spostrzeżenia zmarłego, które chciał zamknąć w rozpoczętem dziele, nie przepadły dla świata. Ona, jedyna ich depozytoryuszka, postanowiła tak się naukowo uzdolnić, aby książka przez nią dokończoną być mogła i skoro tylko przycichł nieco gwałt pierwszej boleści, młoda, bo dwudziestotrzyletnia wdowa zapisała się na studentkę uniwersytetu Rzymskiego, po trzechletnich studyach otrzymała stopień doktora filozofii i zamierza obecnie wziąć się do swej pobożnej pracy, Widzimy więc, że wyższy nastrój myśli, wyższe umysłu wykształcenie bynajmniej nie odbiera kobiecie jej kobiecości, skoro tylko nauka przyjmowaną będzie poważnie i z godnością należytą, bez szalonych wybryków przeciw układowi społecznemu, bez wolności obyczajów, dziko pojętej. Na każdy stopień pojęć i myśli kobieta wstąpić może, nie pozbywając się kobiecości swojej, i tylko kobiecość ta, to jest, uczuciowość, miłosność niewieściej jej natury tak tu, jak wszędzie pójdzie za nią, zawsze głównym bodźcem jej czynów będzie, o kobiecej jej istocie świadczyć nie przestając.—Jestem, bo kocham!...

— W Turynie skończyła wydział prawny i przebyła odpowiednie examina p. Lidia Poët, a posiadając wszystkie żądane kwalifikacye, podała się na kandydatkę do urzędu adwokackiego. Wtedy Rada dyscyplinarna zgromadzenia adwokackiego, prezydowana przez senatora Vegezzi, zebrała się dla głosowania nad przyjęciem lub odrzuceniem żądania, które, poparte ośmiu głosami przeciw czterem, przeszło; p. Lidia Poët została zapisaną na listę turyńskich adwokatow, ale dwóch członków rady dyscyplinarnej, Spantigati i Chiaves, podało się do dymissyi.

— W miesiącu Lipcu zmarła w Weronie Izabella Scogoli Biati, znakomita w zakresie pedagogicznej i dziecinnej literatury pisarka włoska. Pochodząc z rodziny zamożnej i przez małżeństwo z człowiekiem również majętnym zdawała się być ubezpieczoną od ciężkich prób ubogiego żywota, gdy naraz w czasie wojny o niepodległość Włoch straciła męża i mienie całe, tak, że młoda wdowa z czworgiem maleńkich dzieci, znalazła się bez chleba i dachu. Na szczęście Bóg jej dał talent, a ona zdobyła sobie wyższe i niezwykłe u kobiet włoskich wykształcenie. Posiadając dobrze język francuzki, angielski, włoski i łaciński, zapewniła sobie najpierw utrzymanie przez udzielanie lekcyi, następnie wzięła się do pióra, a pisma jej uzyskały odrazu wzięcie i dały rozgłos jej nazwisku. Przy reorganizacyi wychowania publicznego rząd włoski powierzył jej urząd inspektorki szkół żeńskich, na której-to posadzie pozyskała sobie wyższy jeszcze szacunek i zarobiła na tytuł użytecznej kraju swojego obywatelki.

— Lekcye gimnastyki zostają wprowadzone we Włoszech do wszystkich rządowych i municypalnych szkół żeńskich. Szkoła nauczycielek gimnastyki założoną też została w Neapolu i kurs pierwszy, trwający 8 miesięcy, rozpocznie się z bieżącym rokiem szkolnym. Uczennice powinny być osobami dorosłemi, które przecież nie przekroczyły jeszcze 25 roku. Po złożonym należycie examinie nabywają one prawa udzielania lekcyi w szkołach rządowych i gminnych.

— Wenecki departament telegrafów powierzył przed niedawnym czasem kobietom kilka miejsc w centralnem biurze telefonów, i panie te wywiązują się z zadania swego bardzo dobrze. Nietylko pilność ich i cierpliwość w prowadzeniu uciążliwych często rozmów jest wzorowa, ale doświadczenie wykazało, że głos kobiecy, dla dzwięcznej miękkości swego tonu, nadaje się szczególniej do obsługi telefonu.

— Zamieszkała w Wenecyi pisarka, księżna Dora d'Istria, wybiera się w podróż do Chin i Japonii dla studyowania w tych krajach położenia kobiet. Badania w tym kierunku zajmują wyłącznie tę pisarkę od lat wielu.

— Francuzka muzyczka, Paulina Thys, której opera „La Duchesse de Chevreuse“ znalazła we Włoszech niepospolite uznanie, otrzymała od Akademii Francuzkiej zaszczytny znak palmy akademickiej. Pisma francuzkie czynią uwagę, że coraz to więcej kobiet zostaje ozdobionych tym znakiem zasługi, który posiadającej go osobie nadaje tytuł: „Officer de l'Academie“.

— Przy rozdawaniu krzyżów Legii Honorowej podczas ostatniego *Narodowego Święta* we Francyi, ozdobiono piętnastą z rzędu kobietę, M-me Frary Grosse, której ta nagroda należała się oddawna i o którą też upominały się dla niej głosy liczne. Pani ta rozwinęła w czasie wojny prusko-francuzkiej, a szczególniej w czasie oblężenia Paryża najszlachetniejszą działalność patryotyczną, nadzorując osobiście trzy wielkie ambulanse: jeden w Ratuszu, drugi w Ogrodzie Botanicznym, trzeci w pałacu jakimś prywatnym. Niezmordowana praca i najwyższe poświęcenie w ratowaniu obrońców ojczyzny — oto jej tytuły zasługi obywatelskiej, dla której krzyż legii honorowej jest ustanowioną nagrodą.

— Na ogłoszonej przez Akademią Francuzką liście dzieł moralnych i użytku publicznego, którym z tych względów przyznaną została *nagroda cnoty* Montyona, znajdują się trzy nazwiska kobiece: M-me Halt otrzymała ją za powieść: „Histoire d'un petit homme“, M-dle Jeanne Loiseau za „Mariage de Gabrielle. M-me Valtier d'Ambroyse za „Roman d'une soeur“.

— Pewien ogrodnik lyoński wyhodował nowy gatunek szczególnie pięknej, wielkiej, blado-

różowej róży, której dał nazwę: „Juliuszowa Grévy“. Przesyłając małżonce prezydenta Francyi bukiet pięknych tych kwiatów, za motywa swego hołdu podał, że „mimo wysokie swe stanowisko pozostała zawsze skromną i prostą, dobrą matką rodziny, dobrą gospodynią swego domowego ogniska“.

— Paryzkie towarzystwo opieki nad zwierzętami przyznało medal srebrny znanej pisarce p. Henrykowej Gréville za jej pedagogiczne dziełko: „Instruction civile et morale des jeunes filles“. Kilku innym kobietom przyznane zostały również medale i wzmianki zaszczytne. Także *Société pour l'encouragement au bien* i *Société Libre d'Instruction populaire* zaszczyciło kilka kobiet medalami i nagrodami pieniężnemi.

— Wdowa po Michelecie przejęta zawsze wierną czcią dla pamięci męża zajmuje się uporządkowaniem i przygotowaniem do druku pamiętników jego. Aby osiągnąć możność spokojniejszej pracy opuściła Paryż i zamieszkała na wsi, w miejscowości Veligny.

— Francuzki minister oświecenia otworzył w Lyonie świeżo wzniesione Lyceum dla dziewcząt, wraz z urządzonym przy tej szkole pensyonatem. Takie wyższe szkoły żeńskie istnieją już niemal we wszystkich większych miastach Francyi z wyjątkiem Paryża, co jednak nie należy przypisywać zaniedbaniu i niepamięci, ale głuchemu ścieraniu się stronnictw. Jakkolwiek Juliusz Ferry wedle zasady przyjętej przez dzisiejszą Rzeczpospolitą Francuzką usuwa ze szkoły wszelkie wykłady religii, zostawiając rzecz rodzicom uczniów, nie usuwa jednak z nauczania idei Boga i nie pragnie czynić szkół ateistycznemi, gdy przeciwnie gmina paryzka chce takiej właśnie szkoły: chce kształcić dziewczęta francuzkie na wzór Ludwiki Michel i ztąd ociąga się z założeniem w Paryżu lyceum żeńskiego, aż do chwili w której,—jak sądzi, będzie mieć kierunek nauczania w ręku. Mimo to postęp w kształceniu umysłowem Francuzek jest wielki; te, które chcą się uczyć już mają do tego środki, z których korzystają, szukając pracy w zawodach naukowych. Niedawno trzy młode panny skończyły studya lekarskie w Paryzkiej Akademii Medycznej, otrzymały stopień doktorów medycyny i weszły w skład paryzkiego fakultetu lekarskiego. Najświetniej odznaczyła się między niemi Wiktorya Benoit, która rozprawy swojej o „paraliżu dzieci“, broniła wobec znakomitego grona sędziów, doktorów: Patain, Strauss, Rendu i Monod.

— *Towarzystwo narodowe* dla postępów handlu i rzemiosł, otworzyło w Paryżu wykłady dla kobiet i dziewcząt. Tak praktyczna jak teoretyczna nauka będzie tam udzielaną przez pierwszorzędne w tym zakresie siły naukowe. Przytem wielka gorliwość zwróconą będzie na naukę języka francuzkiego, jego gramatykę i wymawianie, oraz na głębsze poznanie literatury francuzkiej przez obznajomienie uczennic ze wszystkiemi znakomitszymi i klassycznymi jej pisarzami. W tym celu prócz wykładu literatury zaprowadzone będą godziny czytania francuzkiego, co bardzo przemawia za nową szkołą i jej duchem. Doskonała znajomość języka ojczystego jest jednym z najwyższych obowiązków obywatelskich, jak niemniej znajomość jego literatury, z czem łączy się jeden jeszcze i to niepośledni wzgląd moralny. Szkoła, która da poznać uczniom czy uczennicom swoim wyższe utwory literackie, arcydzieła pisarzów pierwszorzędnych, obrania ich przez uszlachetnienie pojęć i wyrobienie smaku estetycznego od tej nędznej, brudnej czytaniny, która dziś przez szkołę naturalistyczną szerzy się we Francyi. Niema lepszego przeciw takim rzeczom puklerza, nad niepowierzchowną, dobrą znajomość literatury wyższej.

— Nauka dobrze, gruntownie nabyta, zapasy pozyskanej wiedzy, nigdy nie przepadną, nie zmarnieją daremnie i w biegu spraw ludzkich zawsze miejsce sobie znajdą, w niespodziewany, nieprzewidziany zrazu sposób. Prawdę tę poświadcza karyera nagle się otwierająca przed kobietami, które, poświęcając się medycynie, zdobywały sobie naukę lekarską wśród przeszkód i zapór wszelkiego rodzaju. Nie mówi się tu o tych awanturnicach, których liczba znaczna opadła Uniwersytet Zurychski, szkodząc jedynie dobrej sławie współtowarzyszek swoich, ale o tych prawdziwie nauce oddanych i naukowego zawodu jako pracy życia pragnących. Najliczniejszy ich zastęp wydała Anglia, i oto widzimy teraz, jak nowa i szeroka droga, bynajmniej do współzawodnictwa z mężczyzną nieprowadząca—droga wyłącznie kobiecej pracy, otwiera się przed niemi i co więcej, staje się drogą patryotycznej, obywatelskiej i w rozwoju interressów Anglii bardzo ważnej służby. Kobieta lekarka została zapotrzebowaną do Indyi i jak pisaliśmy już na tem miejscu, staje się tam pewnego rodzaju missyonarką, szerzącą w zenanach indyjskich nietylko pierwsze światło cywilizacyi europejskiej, ale i wpływ Anglii, który w nieprzewidziany sposób może jedynie tą drogą przeniknąć do rodzinnych ognisk domu indyjskiego, przez oddziaływanie na kobietę krajową, dotąd szczelnie zamkniętą, odciętą od świata i jego spraw wszelkich. Za Indyami występują zaraz Chiny i oto angielska lekarka, obok angielskiego missyonarza i żeglarza, nabiera dla ojczyzny swojej politycznego znaczenia, naraz przez kraj zrozumianego. Królowa Wiktorya, która ze względu na pewne przykre dla kobiety strony studyów lekarskich nie była im szczególniej przychylną, a nawet była oporną, teraz przecież dla wyżej wspomnianych względów, zaczyna interessować się bardzo temi odważnemi krzewicielkami światła i postępu w dalekich stronach kolonii angielskich. W Lipcu bieżącego roku udzieliła też prywatnej audyencyi świeżo przez Uniwersytet Londyński doktoryzowanej studentce *Medycznej szkoły dla kobiet*, M-rs Scharlieb, która wyjeżdża do Indyi, aby tam praktykować. M-rs Scharlieb, już mężatka, czy wdowa, osoba lat średnich, mieszkała przez lat kilka w Madras i widząc jak kobieta lekarz może być pożyteczną w Indyach, przybyła do Anglii, weszła do Londyńskiej *Medycznej Skoły kobiecej*, skończyła ją ze szczególnem odznaczeniem i złotym medalem, wreszcie doktoryzowana w Londyńskim Uniwersytecie, wraca do Indyi, wyprawiona w tę drogę życzliwą zachętą ze strony królowej, która rozmawiała z nią przeszło godzinę i wyraziwszy, tak dla jej osoby, jak i pożytecznego jej zawodu uznanie, obdarowała ją portretem swoim w kosztownej oprawie. *Lancet*, najpoważniejsze i najbardziej rozpowszechnione czasopismo medyczne w Anglii, a dotąd bardzo nieprzychylne kobietom lekarkom i nigdy nienotujące postępu ich w studyach lekarskich, nagle też zmieniło punkt zapatrywania się na te rzeczy i opisawszy przyjęcie Mrs Scharlieb w Windsor, ogłosiło nazwiska świeżo doktoryzowanych lekarek. Oprócz doktoryzowanych w Anglii,—w Londynie, jest ich trzy doktoryzowanych w Irlandyi, w Dublinie: Letycya Harwey Andrew, Łucya Elżbieta Cradock, Arabella Madonna Kenealy. Doktoryzacya tej ostatniej odznaczyła się szczególniej, gdyż wśród czterdziestu rozpraw na doktoryzacyą napisanych, jej praca okazała się najpierwszą. Zatem, oprócz dwóch współtowarzyszek kobiet, przeniosła ona umysłem i nauką trzydziestu trzech kolegów swoich mężczyzn.

Miss Kenealy jest córką uczonego ojca, więc zapewne od dziecka pozwolono jej umysłowi rozwijać się przez odpowiednio skierowane wychowanie, i pod wszelkiem też względem występuje ona na widownią świata jako osoba zaznaczająca się szlachetnie, bo zaraz po zakończeniu studyów uniwersyteckich i otrzymaniu stopnia zwróciła się do ministeryum spraw zagranicznych, prosząc, aby ze względu na szerzącą się w Egipcie cholerę i ztąd większe potrzeby pomocy lekarskiej, posłano ją tamże dla praktykowania w szpitalach kobiecych. Potrzeba nowej przesyłki lekarzy do Egiptu nie istniała, tak przynajmniej lord Greville odpowiedział; niemniej fakt ofiary i odwagi szlachetnej pozostał, przynosząc zaszczyt młodej lekarce.

Chińczyk z Szangaju, Tong King Sing, człowiek postępowy w kierunku wszelkim, jak sądzić należy, ponieważ jest właścicielem pierwszego w ojczyźnie swojej folwarku doświadczalnego w miejscowości Kai Ping, gdzie właśnie chce probować hodowli bydła rassy angielskiej, przybywszy do Londynu w miesiącu zeszłym przesłał na ręce sekretarki *Medycznej szkoły dla kobiet* 10 funtów sterlingów z listem, w którym prosi, aby pieniądze przesłane stać się mogły początkiem funduszu stypendyalnego dla lekarki, udającej się na praktykę do Chin. „Kobieta-lekarz jest w Chinach błogosławieństwem Nieba“ pisał ten rozumny Chińczyk, dodając, że zrozumiał to wtedy dopiero, gdy lekarka amerykańska miss Howard zaczęła praktykować w jego ojczyźnie.

Miss Florencya Nightingale, pierwszorzędna powaga w tym kierunku, przesłała także Londyńskiej Szkole Medycznej dla kobiet summę pewną na fundusz stypendyalny indyjskich lekarek. To, że Anglia dała kobiecie jej własną szkołę medyczną odjęło cierń tkwiący w medycznych studyach kobiety, które też teraz pod wszelkim już względem stały się dla niej przystępnemi i właściwemi.

Angielskie Stowarzyszenie zajmujące się młodemi dziewczętami, przybywającemi do miast w celu poszukiwania służby lub innego zajęcia: „Girls Friendly Society“, którego statuta i działalność czytelnicy nasi już znają, założyło w roku bieżącym trzydzieści pięć domów, gdzieby przybywające do miasta robotnice znalazły odpowiednio tanie a uczciwe pomieszczenie, to jest pomieszkanie i jadło, zanim zdołają znaleźć sobie pracę. Dziewięć takich domów znajduje się w Londynie, jeden w Edinburgu, jeden w Dublinie, jeden w Bostonie gdzie przybywa wiele emigrantek angielskich) reszta po rozmaitych miastach angielskich, co razem daje niesłychanie potrzebną uchronę dla dwóch tysięcy pięćdziesięciu dziewcząt. Lady Brabazon stoi obecnie na czele tej błogosławionej instytucyi.

Indyanka z rodu, ale już wyznająca religią chrześcijańską, żona też chrześcijanina i nawet kapłana wyznania anglikańskiego, Ethirajulu, podała na ręce krajowca urzędnika prośbę, aby mogła występować przed sądami miejscowemi jako obrońca prawny. Ethirajulu gruntuje żądanie swoje na zasadzie, że kobiety indyjskie krępowane religijnemi przepisami, które odcinają je od stosunków z mężczyznami, tak potrzebują w interessach majątkowych adwokatów kobiet, jak w interessach zdrowia potrzeba im lekarzy niewieścich. Ethirajulu mówi płynnie poangielsku, okazała też odpowiednie wykształcenie prawne: zatem pozwolenie żądane otrzymała i praktykować będzie w Madras, gdzie ma prywatną szkołę dziewcząt.

Inna, także rodowita Indyanka, wstąpiła w Kalkucie jako uczennica do szkoły istniejącej przy szpitalu Kollegium Medycznego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: **Orli lot.**

TREŚĆ. Pogawędka. — Polka i Amerykanka, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Uczuciowi, komedya, (dokończenie), przez Józefa Blizińskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Августа 1883 года.